

Ekologia bez miłości i nienawiści

30 lipca 2007

Miłość i nienawiść – co one mają wspólnego z ekologią, z postawami względem gatunku ludzkiego, tego samego, który pozostaje jednocześnie częścią przyrody i jej destrukтором? Gdy przyjrzymy się teoretycznym wywodom ekologów i ich codziennym postawom, a także tzw. odczuciom opinii publicznej w kwestii ochrony przyrody, zauważymy kilka postaw odnoszących się do miłości i nienawiści.

Miłość cechuje ekologów w dwóch postaciach. Obiektem pierwszej jest Matka Ziemia, drugiej natomiast – człowiek i ludzkość cała. Miłość jest rzeczą piękną i szlachetną, a raczej należałoby powiedzieć, że bywa taką. Zdarza się niestety, że zamiast piękna i szlachetności mamy do czynienia z groteską i banałem. Tak niestety dzieje się często z ekologami. Ziemia staje się obiektem takiego uczucia, którego przejawy i/lub sens każą podejrzewać adeptów o daleko posunięty infantylizm. To byłoby jeszcze pół biedy, wszak nie każdy musi być emocjonalnie dojrzały – gorzej, gdy takie skojarzenia opierają się na porównaniach ze współczesną idolatrią, płytkim w formie i treści kultem kolejnych gwiazd i gwiazdeczek popkultury. Te same formy zachwyty, podobna – łatwa do wychwycenia – głębia fascynacji, a często także identyczna “sezonowość” i niestałość w uczuciach.

Można to złożyć na karb młodego wieku wielu uczestników ruchu ekologicznego. Można też opisać cały problem w kategoriach – przykro to pisać – ogólnej niedojrzałości tych środowisk, często złożonych nie tyle z ludzi dokonujących świadomego wyboru, co z różnego rodzaju outsiderów nie mieszczących się w tzw. normalnym społeczeństwie i szukających sobie jakiejś życiowej niszy. Ot, ekologia jako miły sposób na “alternatywne” życie. Nie wiem jak to wygląda w innych

krajach, ale w Polsce ruch ekologiczny jest mocno nasycony wszelkiej maści dziwakami, których zachowania, wywody i wiedza (nie chodzi o posiadane certyfikaty ukończenia szkół, lecz zasób wiadomości i zdolność logicznego myślenia) pozostawiają bardzo wiele do życzenia.

Ktoś zapyta – a ty Matki Ziemi nie kochasz? Nie, nie kocham, miłość zostawiając sobie na nieco inne okazje. Z Ziemią odczuwam więź jako przedstawiciel jednego z gatunków, dla których jest ona domem, przyroda zachwyca mnie swym pięknem i fascynuje trudną do opisaną siłą, wielością i złożonością form życia oraz ich zadziwiające i doskonałe konstelacje każą natomiast pochylić mi głowę z szacunkiem, uznać małość własną i innych ludzi wobec tego niepowtarzalnego cudu. Nie jest to miłość, nie muszę recytować oklepanych formułek o Matce Ziemi i uczestniczyć w zbiorowych modłach. Zagłada każdej kolejnej enklawy przyrodniczej zatrważa mnie i boli, choć nie wyrażam tego w pełnych egzaltacji i patosu formach. Drugim aspektem miłości związanym z ekologią jest postawa wobec innych ludzi. Często motywacją do działań z dziedziny “płytkiej” ekologii staje się miłość do człowieka, rodzaju ludzkiego. Efekt tego wydaje mi się jeszcze bardziej żałosny niż wyżej opisane postawy. W praktyce przybiera to postać rozczulania się nad innymi i samym sobą, skłonności do głaskania wszystkich po główkach i hurtowego rozgrzeszania. Czym innym jest solidarność gatunkowa i naturalne poczucie, że to ludzie są naszymi braćmi, czym innym natomiast zachowania rodem z melodramatów, brak zdolności do sprawiedliwego osądu, niezdolność łączenia skutków z przyczynami i ponoszenia odpowiedzialności za te pierwsze, czy wreszcie zwyczajne mazgajstwo, niegodne dorosłych osób.

W ślad za Arne Naessem – twórcą “głębokiej ekologii”, wybrałbym obronę życia człowieka nawet kosztem ostatniego przedstawiciela innego gatunku, bo samemu należąc do rodzaju ludzkiego, odczuwam więź z innymi osobnikami tegoż gatunku, niezależnie od cech konkretnej osoby, subiektywnych sympatii

czy antypatii. Natomiast nie widzę powodów, by ludzkość jako całość obdarzać uczuciem tak poważnym jak miłość, zwłaszcza w wersji bezrefleksyjnej. Po pierwsze nie sądzę, by w ogóle można było kochać wszystkich (jak mawiają bystre istoty: kto kocha wszystkich, ten naprawdę nie kocha nikogo), po drugie uważam, że miłość jest ostatnim uczuciem, na jakie zasłużyło sobie wiele osób swoim postępowaniem. Do czego zmierzam? Do stwierdzenia, że jeśli sami ludzie winni są zaburzeń w ekosystemie – a że to na nich spoczywa wina jest raczej oczywiste – to i oni powinni ponosić konsekwencje swych poczynań, choćby były one najbardziej dotkliwe. Obca jest mi zatem myśl o ochronie przyrody ze względu na dobro człowieka i choć muszą wywoływać współczucie losy ludzi dotkniętych np. skutkami powodzi, to uważam, że najgorszą rzeczą byłoby zaprzestanie w takiej sytuacji wskazywania na rodzaj ludzki jako odpowiedzialny za bolesne doświadczenia, które stały się jego udziałem. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Można oczywiście stwierdzić, że często cierpią najbardziej ci, którzy najmniej sobie na to zasłużyli. Daleki jestem od zrzucania winy na tzw. system, który – trawestując słowa poety – zjadaczy chleba w diabłów przerabia i tych, którzy rzekomo chcieli dobrze zmusza do czynienia źle. Umysłowe leniuszki i poszukiwacze prostych odpowiedzi lubują się w obarczaniu winą za wszelkie zło tego świata różnych bezosobowych zjawisk. Winny jest zatem a to komunizm, a to kapitalizm, a to globalizacja, a to technologia cała, a to jacyś podli “oni” przybierający różne postaci, w zależności od koniunktury i mód.

Taka perspektywa wydaje mi się fałszywa – pewne warunki zewnętrzne mogą stymulować złe i szkodliwe zachowania, jednak zawsze istnieje wybór i gdy ktoś naprawdę chce czynić dobro, to jest to możliwe (świadczą o tym doskonale przykłady godnych zachowań nawet w tak ekstremalnych warunkach, jak hitlerowskie obozy koncentracyjne czy sowieckie łagry). I kapitalizm, i komunizm, i globalizację, i kolejne “złe” rządy tworzą ludzie,

to oni przyzwalają na ich istnienie swoim konformizmem, tchórzostwem, biernością, oportunizmem itp. Nic nie dokonuje się tak naprawdę ponad naszymi – w sensie ogółu ludzi – głowami. Owszem, w przypadku konkretnych nieszczęść część nimi dotkniętych rzeczywiście może być naprawdę niewinna, jednak nie zmienia to faktu, że o ile oni zasługują wówczas na współczucie, to nie zasługuje na nie na pewno cała ludzkość, gdyż inni jej przedstawiciele do nieszczęścia owego doprowadzili. Dlatego ludzi jako takich kochać nie ma moim zdaniem za co – w osądzie ich poczynań należy kierować się poczuciem sprawiedliwości, ta zaś wskazuje, iż nieodłączną towarzyszką winy jest kara. Jeśli ludzkość jako ogół popełnia błędy, powinna ponosić ich konsekwencje – dewastacja przyrody jest skutkiem poczynań człowieka, dlatego ekologia zasadzająca się na chęci uchronienia go przed następstwami owych przewin wydaje mi się fałszywa i krótkowzroczna.

Oprócz miłości mamy też nienawiść. Ta również jest dwojakiego rodzaju. Czasem towarzyszy poczynaniom samych ekologów, jeszcze częściej jest im przypisywana przez różnorakich komentatorów ich poczynań. Nienawiść wobec ludzi wydaje mi się równie wielką aberracją umysłową, jak ślepa miłość do nich. Nie da się jednak ukryć, że uczucie to pojawia się w łonie ruchu ekologicznego. Jedna jego postać ma charakter zwyczajny – skierowana jest wobec konkretnych osób czy instytucji niszczących przyrodę i jako taka wydaje się stosunkowo naturalnym zjawiskiem. Pozostaje tylko żałować, że poczucie słusznej wrogości wobec tych czy innych szkodliwych poczynań przybiera tak prymitywną postać, zamiast na przykład szlachetnego gniewu, będącego elementarnym składnikiem drogi wojownika. Nienawiść jest uczuciem niesłyszanie płytkim, w pewnym sensie wręcz atawistycznym, bezrefleksyjnym. Czym innym jest wyraźne określenie wroga – kogoś, kto ma inne cele i z kim podejmujemy walkę w imię obrony naszych wartości, a czym innym zawzięta nienawiść, prowadząca na ogół do przedmiotowego traktowania strony przeciwnej, odmawiania jej wszelkich zalet i ludzkich (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) cech. Tymczasem

nawet wrogów należy szanować, nie zapominając, że są ludźmi takimi samymi jak my, przedstawicielami tego samego gatunku, a ich błędy równie dobrze mogły stać się naszym udziałem.

Drugim aspektem nienawiści jest jej postać "systemowa". Zdarza się niestety i tak, że miłość czy szacunek do przyrody przybiera szczególną postać, nacechowaną nienawiścią wobec całego gatunku ludzkiego. Czasem wynika to z traumatycznych przeżyć (skrzywdzony przez konkretną osobę człowiek przenosi swoje odczucia wobec niej na wszystkich ludzi), innym razem z czegoś, co można określić jako zaburzenie poczucia wspólnoty gatunkowej. Można czasem spotkać kogoś, kto bardzo szanuje przyrodę czy same zwierzęta, a jednocześnie nie darzy zbyt wielkim szacunkiem ludzi. Można natrafić na jeszcze gorsze przypadki: ktoś kocha i szanuje przyrodę, zwierzęta, lecz gardzi ludźmi i nienawidzi ich. Najgłośniejszym chyba przypadkiem osoby o mocno zaburzonej więzi z własnym gatunkiem jest dość sławny australijski etyk Peter Singer, znany w ekologicznych kręgach jako autor głośnej książki "Animal liberation". Postuluje on nacechowanie postaw wobec zwierząt, zwłaszcza ssaków naczelnych, znacznie większym współczuciem, przyznanie im wielu praw, których obecnie nie posiadają. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że ten sam człowiek głosi pogląd, iż osoby niepełnosprawne, upośledzone umysłowo czy na skutek choroby lub niemowlęctwa nie posiadające możliwości kontrolowania własnych zachowań, nie są pełnowartościowymi ludźmi i np. zabicie takiego kogoś nie powinno być traktowane na równi z zabiciem dorosłego, w pełni świadomego człowieka. Władze Niemiec, gdzie podobne wizje przed zaledwie kilkudziesięciami laty doprowadziły do wymordowania wielu osób i gdzie pamięć o zbrodni jest wciąż żywa, zakazały Singerowi głoszenia takich poglądów na terenie tego kraju. Niemiecki pisarz Ernst Jünger zauważył kiedyś z goryczą, iż "po wegetarianach przychodzą kanibale", co miało oznaczać, że współczuciu i szacunkowi wobec innych istot towarzyszy czasami pogarda i nienawiść wobec własnego gatunku. Na szczęście takie postawy są w ruchu ekologicznym marginalne.

Nienawiść wobec ludzkości jest łatką, którą często jednak przypina się ekologom zupełnie bezpodstawnie. Zwolenników głębokiej ekologii i radykalnej obrony dzikiej przyrody wielokrotnie nazywano nawet ekofaszystami. Dość popularny francuski liberalny filozof Luc Ferry niedwuznacznie sugerował wręcz podobieństwo do nazistów tych ekologów, którzy wykraczają poza segregowanie śmieci i wytyczanie ścieżek rowerowych. Pogląd ten wydaje się wyjątkowo absurdałny.

Otóż faszystami nie zostali nazwani ci, którzy ludzkości wyrządzili jakąkolwiek krzywdę, lecz osoby, które po imieniu nazwały krzywdę, jaką ludzkość wyrządza samej sobie i nie tylko sobie – także całej planecie, niezliczonym gatunkom flory i fauny, różnorodności ziemskiego życia. Faszystami są więc ci, którzy mieli na tyle odwagi i dalekowzroczności, by napiętnować destruktywne i szkodliwe poczynania innych – gdyby chcieć stosować podobną logikę na co dzień, to np. policjanta czy sędziego zwalczającego groźnych bandytów należałoby nazwać bandytą właśnie, groźnego bandytę natomiast obrońcą ładu i porządku.

Tymczasem na miano faszystów powinni, gdy pozostaniemy na gruncie takich skojarzeń i nazewnictwa, zasłużyć sobie wszyscy osobnicy niszczący przyrodę i przykładający rękę do procesów zagrażających przetrwaniu życia biologicznego na Ziemi. Czyli, mówiąc wprost, zarówno decydenci polityczni, bonzowie gospodarki, jak i tzw. zwykli ludzie, którzy swymi postawami i wyborami przyczyniają się do ekobójstwa. To oni właśnie stanowią poważne zagrożenie nie tylko dla określonej grupy ludzi, ale wręcz dla całego naszego gatunku, nie wspominając już nawet o gatunkach innych, którym też na gruncie światopoglądu ekologicznego winniśmy szacunek.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło drukowane: "Biuletyn Polskiego Klubu Ekologicznego" nr 10(105)/2002

Źródło internetowe: ["Obywatel"](#)